Wydawnictwa rok VI
Dnia 11 marca 1928 r.

Nr. 236

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

AKADEMJA LITERATURY W STUDJUM REALNYCH ROZWAŻAŃ.

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54. Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Świat 22, tel. 283-62.

NIEDYSKRECJE

DEZORJENTOWANIE WYBORCÓW w okresie wyborczym, tak usilnie wprowadzane w życie szczególnie przez narodową demokrację, nie dało tej partji sukcesu, ośmieszyło ją zato skutecznie i zemściło się boleśnie. Nadużywanie katolicyzmu i tytułu „Narodowy" spowodowało w głowach prostych, porządnych ludzi chaos, który w pewnych wypadkach stwarzał absurdalne wprost zestawienia. Tak np. w pewnych okolicach interpretowali sobie wyborcy, że Blok Katolicko-Narodowy to jest Kościół Narodowy, do którego spory odsetek ludności zwłaszcza wiejskiej czuje wiele uprzedzenia.

***

KIERNIKOWE ŁZY wypłakały mandat Piastowców w okręgu 44-tym. P. Kiernik, znany w całem województwie krakowskiem pod nazwą krwawego Kiernika, wyczerpawszy wszystkie metody łowienia dusz i głosów, widząc, że wydobyto się z pod uroku jego wszechwładzy powiatowej, że ani groźby, ani obiecanki, ani pieszczące drobne ambicje pochwały, ani wreszcie brzęczące argumenty nie dość przekonywująco działają na życzliwość wyborców,—jął się niepraktykowanej dotąd w walce wyborczo-agitacyjnej metody pokonywania oporu wyborców — łzami. P. Kiernik nie odważył się na zwołanie publicznego wiecu nawet we własnem mieście rodzinnem, obawiając się, by mu nie przypominano powszechnie znanych grzeszków z zakresu prezesowania, ministrowania, doradzania i t. d. Nawet na poufnych konferencjach zdarzało mu się nierzadko spotykać ostrą opozycję. W pewnej nawet miejscowości jeden z uczestników zebrania poufnego rzucił mu wprost: pocoś tu przyszedł złodzieju? Com Ci ukradł? — rzucił odważnie p. Kiernik. — Zaskarż mnie do sądu, to ci powiem — odparł nieustępliwy opozycjonista. Wobec tego rodzaju kwiatków nie pozostawało nic innego jak uciekać się do — sentymentów. P. Kiernik, jako wytrawny adwokat, znający słabości i słabostki ludzkie, zastosował się szybko do potrzeby i rozpoczął walkę o mandat przez łzy. — Ja wam tyle zrobiłem, tyle czasu staliśmy przy sobie wiernie — wy mnie teraz opuszczacie, zdradzacie? — Tu płynęły z oczu bolesne, gorzkie i ciężkie łzy żalu, opuszczenia, serdeczne łzy bankruta — i wzruszały.

***

MAMUSINE SYNKI w pozłacanych deklach zaprodukowały w ostatnich dwuch tygodniach cały szereg wręcz chuligańskich debiutów, hańbiąc zaszczytne miano polskiego akademika. Antypaństwowe wystąpienia „niestudjujących studentów", starcia z policją, gwałty nad bezbronną ludnością na długo brzydką plamą na opinji studentów. Dochodzą nas jednak wieści, że lekcja dobrego wychowania i wyrobienia społecznego, udzielona parokrotnie słuchaczom wyższych uczelni przez szeregowych policjantów (tragiczny paradoks) zaczyna odnosić pewne skutki. Oto wśród „eleganckich młodzieńców", którzy mają studja na ukończeniu, zaczyna się pewien proces otrzeźwienia. Panowie ci skombinowali widocznie po wyborach, że ster rządów w Polsce na długo pozostanie w rękach nienawistnej im „sanacji", a że po ukończeniu studjów, karjerowiczowskie elementy korporanckie nie chcą się wyrzec ewentualnych posadek (gwarantowanych za Chjenopiasta), przeto wielu starszych leaderów Młodego O. W. P. (Obozu Wszelkiej Podłości), zaczyna się „nawracać".

Nawracanie to odbywa się w zadziwiająco cyniczny sposób. Złoty młodzieniec zaczyna „zezować na konserwę", zaczyna wygłaszać to i owo, a zwłaszcza stara się o zetknięcie z ludźmi naszego obozu na „gruncie towarzyskim". Nie przeszkadza mu to zresztą wypychać młodych „fuksów" z kijami na ulicę. Panków tych zgóry musimy ostrzec: do obozu naszego żadna droga nie wiedzie przez froterowane posadzki salonów. Wiedzie droga poprzez pola bitewne, poprzez lata wytężonej, ideowej pracy. Jeżeli sądzicie, że dla was będzie utworzona (na wzór zarzucanej nam „czwartej") jakaś „piąta brygada", nie mylicie się ani chwili. „Piąta brygada" będzie sformowana w charakterze karnego oddziału w którym odbywać będziecie stanowczo zadługo i bezprodukcyjnie odkładaną półtoraroczną służbę wojskową.

***

„ŚWIĘTĄ WOJNĘ" PROKLAMOWAŁ SUŁTAN IBN SAUD, wódz największego i najbardziej fanatycznego szczepu arabskiego wahabitów, władca Nedżu i Hedżasu. Uzbrojone falangi wahabitów natarły jednocześnie na trzy królestwa arabskie, znajdujące się pod protektoratem brytyjskim: Irak, Transjordanję i sułtanat Koweit, posiadający największy port naturalny w zatoce perskiej. Celem Ibn Sauda na wzór kalifa Omara mieczem propagującego wiarę Mahometa, jest zjednoczenie wszystkich szczepów arabskich od morza Śródziemnego aż po zatokę Perską pod jego berłem oraz nawrócenie „niewiernych" arabów, współpracujących z giaurami. Pośrednio więc cios wahabitów, którzy przed kilku laty zdetronizowali anglofilskiego króla Hedżasu Husseina, wymierzony został w Wielką Brytanję. To też znajdujące się w sułtanacie Koweit okręty wojskowe oraz eskadry lotnicze angielskie przygotowały się do odparcia wahabitów. Ibn Saud zapowiada, że w najbliższym czasie powoła on pod sztandary „Świętej wojny" 300 tysięcy wiernych. Dziwnym wydaje się fakt, iż akcja wahabitów rozpoczęła się właśnie w chwili obecnej. Wyświetla to prasa angielska, która twierdzi, iż rząd brytyjski wypłacał Ibn Saudowi po 5 tysiecy funtów rocznie wzamian za obietnicę utrzymywania stosunków pokojowych z sąsiedniemi szczepami. Gdy wypłat zaprzestano, wybuchła „Święta wojna".

***

NARÓD ESTOŃSKI POTĘPIŁ METODY OKUPANTÓW NIEMIECKICH w orędziu, wydanem przez parlament z okazji 10-lecia powstania niepodległego państwa estońskiego. Słusznie uczyniony Niemcom zarzut, iż władze wojskowe wyokrzystały okres okupacji, aby popierać baronów bałtyckich i wprowadać ucisk narodowościowy, który w niczem nie ustępował praktykom carskich satrapów, przyczynił się do wywołania konfliktu estońsko-niemieckiego. Mimo poglądu lewicy niemieckiej, że rząd republikański nie ponosi odpowiedzialności za czyny generałów Kaizera, Niemcy oficjalnie uczuły się dotknięte podobnym zarzutem. Zaznaczyć wypada, że estońska reforma rolna pozbawiła niemieckich baronów nadbałtyckich, którzy stanowili zaledwie 3 procent ludności repuliki, ich obszernych latyfundjów. W obecnej chwili właśnie toczyły się rokowania między Estonją a Rzeszą Niemiecką o wypłatę odszkodowania wywłaszczonym magnatom. Odwołany do Berlina poseł niemiecki oświadczył rządowi estońskiemu, iż nowy poseł nie będzie mianowany dopóty, dopóki incydent, związany z jubileuszem, nie zostanie zlikwidowany.

EMIGRACJA POLSKA WE FRANCJI

Więcej niż pół miljona wychodźców Polaków znajduje się we Francji. Przyrost naszej immigracji wzrósł tutaj ogromnie w ciągu ostatnich lat.

W 1921 r. statystyka francuska wykazuje koło 47 tysięcy immigrantów polskich, w 1925 r. — 310 tys., obecnie obliczają w przybliżeniu ich cyfrę na pół miljona.

Francja jest zmuszona zapełniać luki swego zaludnienia stałym dopływem z zagranicy. Liczba urodzeń obniżyła się w ciągu XIX-go i XX-go wieku prawie do połowy (z 33 na 19 i 18 na 1000 mieszk. rocznie). Wskutek wojny ubyło Francji jeden i pół miljona mężczyzn w sile wieku, większość strat poniosła ludność wiejska, ponadto na opustoszałe stanowiska po miastach, w kolejnictwie, w urzędach wszelkiego rodzaju musiała znowu wieś dostarczyć materjału ludzkiego, to też nie jest już rzadkością we Francji spotykać wśród nieobsianych pól szeregi pustych, zabitych deskami domów. Spotykałam takie domy nawet o kilkadziesiąt kilometrów w Paryżu, tak na północy jak i na południu, w kwitnącej Prowancji. To samo dzieje się w centrum, nad Loarą i Garonną. Niektóre departamenty poniosły w ciągu ostatnich 50-ciu lat koło 120 tys. ubytku ludności na 312 tys. pierwotnych mieszkańców (Gers), 110 tys. na 506 tys. (Dordogne) i t. d.

Ilość cudzoziemców osiadłych na ziemi francuskiej wzrasta z roku na rok i wynosi obecnie prawie dwa i pół miljona, co stanowi 6 proc. całej ludności Francji. W południowych departamentach gęsto kolonizowanych przez Włochów, procent cudzoziemców wynosi 15 do 32%. To samo dzieje się w departamentach północnych z Polakami, głównie w okręgach górniczych i węglowych. Są miejscowości we Wschodniej Francji, gdzie procent cudzoziemców sięga 90 i 95!—(dane francuskie z 1927 r.).

„Ponieważ zależy nam na tem, powiada p. Paon, w dziele poświęconem tej sprawie, aby sztucznie zaludnić nasz kraj, należałoby ruch immigracyjny skierować wyraźnie w kierunku osadnictwa rolnego. Należy otwarcie sprzyjać sprowadzaniu całych rodzin i osadzaniu ich po wsiach w charakterze dzierżawców lub właścicieli, o ile możliwe na stałe".

Usiłowania rządu francuskiego dążą do jaknajśpieszniejszej naturalizacji immigrantów cudzoziemców. Prawo z 1927 r. pozwala na udzielenie obywatelstwa francuskiego każdemu, kto przebywał we Francji 3 lata z rzędu, a nawet tylko rok, jeżeli się w czemś Francji zasłużył. Dzieci zrodzone z ojca cudzoziemca i matki francuzki uzyskują również obywatelstwo francuskie.

Jednym z czynników silnie wynaradawiających to przymus szkolny, rozciągnięty na dzieci cudzoziemców. Szkół polskich we Francji niema, prawo na to nie pozwala. W okręgach najgęściej zaludnionych przez Polaków została, na usilne ich żądanie, ustanowiona dodatkowa nauka języka, historji i geografji polskiej, przeważnie jednak tylko w szkołach prywatnych.

Stosunek władz szkolnych do polskiego nauczycielstwa jest nieprzychylny, stanowisko ich b. trudne. Ciąży na nich stale zarzut przeciwdziałania akcji asymilacyjnej rządu francuskiego. Zresztą na 40 tys. dzieci w wieku szkolnym znajdujących się obecnie we Francji, mamy tylko 88 sił nauczycielskich, wówczas gdy powinnoby ich być przynajmniej 400.

Opieka nad emigracją naszą we Francji pozostawia jeszcze dużo do życzenia. Obie konwencje zawarte pomiędzy rządem polskim, a francuskim w 1919 i 1922 r. są niewystarczające. Przeoczenia niektórych ważnych punktów przy układaniu konwencji, jak np. kwestji ubezpieczeń w razie wypadków, sprawa emerytur, szkolnictwa i in. nie dadzą się już teraz naprawić. Złożoność zagadnień, oraz sprzeczność interesów Francji i Polski w tej materji utrudniają pracę odnośnych czynników. Pozatem daje się odczuwać brak określonej dyrektywy rządowej w kwestjach wielkiej doniosłości, dotychczas spornych, jak np. w sprawie naturalizacji i asymilacji.

Wśród osobistości stojących blisko spraw emigracyjnych, poglądy w tej sprawie są podzielone. Jedni uznają „odstąpienie" Francji, a do tego zmierza polityka asymilacyjna, półtora miljona Polaków za czyn haniebny. Należałoby, ich zdaniem, wszelkiemi siłami sprzeciwić się wynarodowieniu tych rzesz, drudzy, i to przeważnie doświadczeni i obeznani z warunkami tutejszemi są innego zdania „nie należy się łudzić, powiadają, aby ta cała masa wychodźców mogła kiedykolwiek do Polski wrócić w całości, do Polski, gdzie, przy znacznym przyroście ludności, nowe placówki są stale zajmowane przez miejscowy materjał ludzki. Należy zatem polskiej emigracji we Francji zapewnić jaknajdalej idącą opiekę rządu polskiego, ale nie wolno ich wrogo usposabiać do kraju, który może się stać ich drugą ojczyzną, gdzie znaleźli chleb, a z czasem będą mogli znaleźć stanowisko i byt zapewniony. Naturalizacja zapewniłaby im emerytury, prawa ubezpieczeniowe i wyborcze, zrównała z prawami Francuzów i podniosła w ich oczach, dając możność obrony własnych interesów.

Sądzę, że to ostatnie stanowisko jest bezwzględnie racjonalniejsze. Częściowa asymilacja naszych imigrantów we Francji jest koniecznością, z którą walczyć byłoby bezcelowo. Walka w tej dziedzinie mogłaby ujemnie i szkodliwie odbić się na samych imigrantach. Należy tedy baczyć, by proces ten przeszedł jaknajmniej boleśnie i aby rozpoznanie Polski utrwaliło się serdecznymi więzami w pamięci przyszłych pokoleń jej synów, którzy będą w obcym kraju jej sprzymierzeńcami i sympatykami, jak to ma miejsce wśród wynarodowionej ale oddanej swej dawnej ojczyźnie emigracji amerykańskiej.

Wśród samych Polaków - robotników we Francji niema jeszcze sympatji do otaczającego ich narodu. Zwłaszcza kwestja języka leży im stale na sercu, brak polskich nauczycieli daje się we znaki. Wydział emigracyjny przy Ambasadzie polskiej w Paryżu stara się zaradzić niedostatkowi szkół przez zakładanie ochron, gdzie chociaż w okresie przedszkolnym dzieci będą mogły uczyć się języka

ojczystego. Takich ochron powstało w ubiegłym roku koło 30-tu. Niestety jest to jeszcze bardzo mało w stosunku do potrzeb imigracji.

Przy każdym konsulacie powstał Wydział przeznaczony jedynie dla spraw związanych z imigracją robotniczą. Osiem biur „Opieki“ jest czynnych po miastach nie posiadających konsulatów. „Opieki“ mogą do pewnego stopnia zastąpić konsulaty, udzielając informacyj, wskazówek i skierowując petentów tam, gdzie należy. Każdy rok może przynieść ulepszenia w tej akcji polskiej, pozatem sami Francuzi zrozumieją, jak często niepolitycznie postępują z immigrantami polskimi, jak narażają sympatję, którą Polska odczuwa dla Francji, jak utrudniają asymilację, chcąc ją sztucznie przyśpieszyć. „Każden z nas pragnie powrotu do kraju, mówił mi kiedyś zbiedzony emigrant w baraku paryskiego „Centre d'ebergement“, przecie nikt z nas tu umierać nie chce“.

Tyle tęsknoty leży w oczach tych ludzi, przeznaczonych na obcy grunt, tyle wdzięczności za każde dobre słowo w ojczystym, jedynie zrozumiałym języku.

M. Czapska.

POPRZEZ MORZA ZA MORZA!

Budzimy się do nowego życia — życia czynu i pracy. Gdzie cisnąć okiem odrzucamy precz rutynę i chodzenie utartemi szlakami, wkraczając śmiałą stopą na nowe szerokie tory. My, odwieczne szczury lądowe, mające dziwny lęk przed wodą, poczynamy się kumać z oceanami, zabierając się do ich wyzyskania jako utartych już przez inne narody dróg komunikacyjnych w celach handlowych zarówno, jak i kulturalnych.

Ameryka, pociągająca do tej pory masowo jedynie wieśniaka polskiego, poczyna nęcić i ziemianina, i mieszczucha, i rzemieślnika, przedstawiciela wolnych zawodów, wreszcie kupca.

Śmiało powiedzieć można, że gdyby to tylko było wykonalne, bardzo poważna ilość inteligencji zawodowej opuściłaby kraj rodzinny, szukając za morzami poprawy bytu materjalnego. Sprawa to jednak dalekiej przyszłości. Obecnie powstaje pomyślna pod tym względem konjunktura jedynie dla handlowców, gdyż przemysł polski, ocknąwszy się ze swej długoletniej drzemki zabiera się do szukania nowych rynków zbytu, nie zrażając się ani ich odległością, ani egzotycznością, jako też żadną prawie, jak dotąd, ich znajomością.

W tej chwili pragnę mówić o zamierzeniach, mających na celu nawiązanie bezpośrednich stosunków między przemysłem polskim, fabrycznym czy rolnym, a Krajami Ameryki Łacińskiej. Użyłem dlatego wyrażenia: stosunków bezpośrednich, ponieważ pośrednio już niektóre produkty polskie idą za morze, niestety pod obcą marką, zatracając po drodze zewnętrzne cechy swego pochodzenia. Mało komu wiadomo, że np. chmiel polski idzie do Meksyku jako chmiel czeski, a polska mączka ziemniaczana sprowadza się do tego samego kraju, jako holenderska.

Zbyteczne dodawać, że strata, jaką ponosimy, jest podwójna: moralna — na prestiżu, i materjalna — na odstąpieniu pośrednictwa cudzoziemcom.

To samo można powiedzieć o pobieranych z Ameryki Łacińskiej towarach kolonjalnych, chociażby o tak wielkiej ilości kawy brazylijskiej, przychodzącej do nas przez Hamburg, któremu za tę usługę słono musimy zapłacić, nie mówiąc już o haraczu pobranym od nas za to samo od niemieckich linij okrętowych.

P. Juljan Brygiewicz, honorowy konsul meksykański, przemyślał to całe zagadnienie doskonale i podjął doniosłą inicjatywę zorganizowania Izby Handlowej Polsko-Łacińsko-Amerykańskiej z główną siedzibą w Warszawie oraz filjami we wszystkich po kolei 21 Republikach Am. Łac. Statut tej nowej instytucji, przyjętej bardzo przychylnie zarówno przez sfery przemysłowe, jak i rządowe, został już zatwierdzony, wskutek czego Izba rozpocznie wkrótce swą pożyteczną działalność.

Wskutek specjalnych warunków natury politycznej i gospodarczej Polska Izba Handlowa dla nawiązania stosunków z krajami Ameryki Łacińskiej będzie mogła przedstawiać ich interesy również wobec Rosji, Rumunji i Krajów Bałtyckich, dzięki czemu zakres jej działania ulegnie stopniowo znacznemu rozszerzeniu. Wskutek tego stała wystawa produktów kolonjalnych Am. Łac. w Warszawie zostanie bezwątpienia przez wszystkie kraje zainteresowane wydatnie i gorliwie poparta.

Z drugiej strony Izba zamierza przystąpić niezwłocznie do zorganizowania wystawy ruchomej produktów przemysłu polskiego, któraby stopniowo i kolejno zapoznała Kraje Ameryki Łacińskiej z naszą rodzimą produkcją i korzyściami nawiązania bezpośrednich z nami stosunków.

Na pierwszy początek pójdzie zapewne Meksyk, którego przedstawiciel Rządu oświadczył piszącemu te słowa, że możemy liczyć na poparcie polskiej wystawy przemysłowej przez dostarczenie za darmo pomieszczenia na wystawę, jakoteż przez opłacenie kosztów przewozu wszystkich eksponatów z portu Vera Cruz do miasta Meksyku, co przy tamtych wysokich taryfach kolejowych stanowi pomoc bardzo poważną.

Tutaj wspomnieć się godzi, że w mieście Meksyku powstała przed kilku miesiącami spółka handlowa p. f. „Intercambio Comercial Latino-Americano“, która też niewątpliwie we własnym interesie będzie gorliwie pomagała do powodzenia zarówno wystawy samej, jak i związanego z nią cało-

EWANGELJA WUJA SAMA



Niechaj nie wie prawica, co robi lewica.
(Blanco z negro)

kształtu działalności Izby Handlowej Polsko-Łacińsko-Amerykańskiej.

Na dalszym planie zarysowuje się realna możność znalezienia wystarczającego ładunku dla własnej handlowej linji okrętowej, łączącej Gdynię z szeregiem portów Ameryki Łacińskiej.

Przy naszym biernym bilansie handlowym korzyści z powstania Izby mogą być i niewątpliwie będą ogromne, instytucja więc zasługuje na jak najwydatniejsze zarówno moralne, jak i materjalne poparcie całego społeczeństwa.

Na zakończenie dodać winienem, że Izba będzie również wydawała własny miesięcznik w dwuch językach: polskim i hiszpańskim, gdzie obok spraw czysto handlowych i z handlem bezpośrednio związanych będą omawiane zagadnienia wychodźcze jakoteż poruszane tematy turystyczne, te ostatnie ilustrowane w celu zwrócenia uwagi Krajów Ameryki Łacińskiej na rzeczy godne widzenia w Polsce w celu skierowania do Polski ruchu turystycznego z Krajów Ameryki Łacińskiej i ściągnięcia tą drogą ich waluty dla poprawienia naszego bilansu płatniczego.

Że tego rodzaju akcja będzie miała również znaczenie kulturalne a nawet polityczne zbyteczne chyba dodawać.

Wojciech Szukiewicz.

Z MAŁEJ CHMURY BĘDZIE DESZCZ *)

Dziwnym przypadkiem nabiera sprawa szkół średnich aktualnych rumieńców, rozpada się na osobne działy, a te na kilka sprzecznych krzykaczy. Rozdrobnienie to nie może wyjść dobrej sprawie na korzyść; należy stworzyć linję, po której dalsze dyskusje toczyć się będą.

Linją tą są — podręczniki szkolne. Już oddawna głowiono się nad tem, czy podręczniki te są potrzebne. Wielostronne „tak" i „nie" starły się w nieprzejrzany chaos, aby następnie zblednąć w zapomnienie.

Otóż: książka szkolna (w ścisłem tego wyrazu znaczeniu) nie może służyć jako źródło wykładu, z któregoby nauczyciele czerpali. (Niestety u nas zbyt częste).

Książka szkolna powinna być przejrzystym, jasnym skorowidzem, zbiorem najważniejszych faktów, zwięzłem streszczeniem. Albowiem zdaniem książki szkolnej jest przypomnieć wykład. Jest wtedy jego dyspozycją, szkieletem.

Wykład powinien być analogiczny, w każdym szczególe zgodny z książką. Profesor nie powinien się nigdy wyrażać o książce, że jest „źle napisana". Albowiem to degustuje ucznia i zniechęca, a nawet zlekceważa do niej.

Książka szkolna powinna być tania. Brzmi to nieco paradoksalnie, ale udowodnię zaraz łatwe zrealizowanie tego.

*) Artykuł dyskusyjny.

Nie zaprzeczy nikt, że nie było jeszcze takiego cudu, aby dla danej klasy przeznaczoną książkę zupełnie „od deski do deski" przerobiono. Zawsze zostaje jedna trzecia materjału. Teraz następują dwa rodzaje „podziału" materjału: albo dodaje się ową pozostałą jedną trzecią do następnego roku, skutkiem czego z nowej książki dwie trzecie odpadną i t. d.

Albo też „zapomina" się o nieskończeniu książki, i bierze następną. Powstaje wtedy luka, która pokutuje przez całe życie.

Nie będę się nad tem długo rozwodził; zdążamy do zmniejszenia objętości książek. Każdą książkę szkolną można śmiało o jedną trzecią zmniejszyć. Wyrzucić frazesy, a książka taka będzie nietylko tańsza, ale lepsza, wygodniejsza i pożyteczniejsza dla ucznia. Wracając do ceny książek: poco te przedmowy? (Przedmowa do 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9... wydania! (Sosnowski: „Geografja"). Dlaczego ma biedny uczeń płacić więcej, dzięki wybrykom autorów? Summa summarum idą tysiące na marne dzięki takim wstępom, wyliczeniom „literatury", spisom rycin i t. p.

Poco ten luksus? Odkąd-że to nasze wydawnictwa są tak hojne w druku i papierze?

Bo wiedzą, że książkę szkolną musi się kupić, czy droga, czy tania, czy gruba, czy cienka. Musi się!!! rozumiecie?!

Tak, tak — stanie się coś z temi książkami, musi się zmienić na lepsze, bo horyzont jest czarny; nadciąga burza.

A będzie to burza, będzie... Z małej chmury będzie deszcz, i to deszcz taki, że nie pomogą nawet parasole.

Alfred Lutwak.

POKÓJ.



Jeszcze trochę tych lekarstw a czeka mnie niechybna śmierć.
(Kladeradatsch).

LATYNOAMERYKANIZM, PANAMERYKANIZM I IBEROAMERYKANIZM.

Na przecięciu trzech kultur. — Renesans narodowy i kulturalny Południowej Ameryki. — Dążenie jej do rozwoju własnej indywidualności.

Stworzony przez yankesów, kierowany z Waszyngtonu „panamerykanizm" służy przedewszystkiem interesom północno-aamerykańskim. Jest i będzie polityką „okrążenia Ameryki Południowej przez Stany polityką ekspansji finansowej, która się stara o dobrą asekurację dolara w krajach łacińskich, utrudniając jednocześnie wszelkiemi możliwemi sposobami zbliżenie polityczne, ekonomiczne i kulturalne między poszczególnemi republikami południa. Zwolennicy panamerykanizmu twierdzą że panamerykanizm jako pojęcie szersze, obejmujące północ i południe „Nowego Świata". zawiera w sobie także siłą rzeczy „Latyno-amerykanizm", będący synonimem unji południowej. Zwolennicy „Latyno-amerykanizmu" utrzymują. że unja południowa powstać może dopiero na gruzach panamerykanizmu. Yankesi pragnęliby zawrzeć braterstwo z każdym poszczególnym narodem — braterstwo z całą rodziną południową zawarte na raz, jest dla nich bardzo niewygodne. Tymczasem narody południowe nie chcą nieproszonych pośredników.

„Narody południowo-amerykańskie nie są nieprzyjaciółmi Stanów Zjednoczonych — powiedział na ostatnim kongresie politycznym w Williamstown słynny polityk i ekonomista argentyński, S. Zeballos: „Nie zapominajmy jednakże, że w Stanach Zjednoczonych rządzi nie tyle demokracja ile finanse: królowie stali i nafty czy bawełny, i że ci magnaci których ambicje są nienasycone, wpływają na kierunek polityczny Białego Domu w Waszyngtonie. Plutokracja z Wall-Srteet dąży do hegemonji nad światem. Gdyby Stany Zjednoczone chciały zdobyć tę hegemonję nad południowem prawem silniejszego, t. j. prawem miecza, świadomość niebezpieczeństwa obudziłaby wśród narodów łacińskich uczucie niezłomnego patryjotyzmu. Im gwałtowniej manifestuje się agresywność państw kapitalistycznych, im zachłanniejszy jest ich nacjonalizm, tem silniejszy jest opór państw zagrożonych.

Połknąć łatwo, ale strawić trudno. Dość przypomnieć historję Polski i Irlandji — mówi Zeballos.

Stany Zjednoczone wiedząc o tem wybrały narazie inną drogę. Przychodzą do Argentyny, Brazylji, Peru, czy Urugwaju z oliwną różdżką pokoju. Lecz i jednocześnie dolar robi swoje. Na korzyść Stanów działa prasa, działają gubernatorzy południowo-amerykańscy i dyplomaci. Nigdy w historji świata żaden imperjalizm nie miał takich danych zwycięstwa jakie ma dzisiaj imperjalizm „yangui". Przejrzawszy programy pięciu ostatnich konferencyj panamerykańskich, zwołanych w ostatniem dwudziestoleciu przekonamy się ,że żaden z wielkich planów ekonomicznych i politycznych nie doszedł do skutku. Okazało się nprz. niemożliwe przeprowadzenie jedności monetarnej, kodyfikacji prawa międzynarodowego, unifikacji prawa handlowego. Nie doszedł także do skutku projekt założenia „Instytutu amerykańskiego prawa międzynarodowego", instytutu, który miał mieć swoje filje w różnych krajach południowych. Spalił też na panewce projekt przymusowego arbitrażu. Konferencje poprzestały na wymianie zdawkowych uprzejmości i aktów dyplomatycznej kurtuazji.

Żaden kierunek polityczny, czy socjalny pozbawiony rezonansu w duszach mas. nie może istnieć długo. Dlatego też młodzież południowo-amerykańska wydała otwartą wojnę „panamerykanizmowi", jako idei sztucznej i jałowej, nie mającej żadnych danych na realizację.

Nie ulega wątpliwości, że polityka Stanów natrafiłaby na niezwyciężone przeszkody gdyby nacje południowo-amerykańskie zdobyły się na unję polityczną, któraby im wszystkim razem mogła zapewnić należne miejsce wśród koncertu wielkich mocarstw. Tego jeszcze nie udało się dotychczas osiągnąć.

Stosunki dyplomatyczne w dniu zwołania konferencji w Santiago przedstawiały się w sposób następujący: osiem republik południowo-amerykańskich nie było w Argentynie reprezentowanych zupełnie. Argentyna ze swej strony na pięć państw Ameryki środkowej posiada tylko jedno poselstwo. Tylko siedem republik jest reprezentowanych w Asuncio. Paragway w całej Ameryce ma trzy ambasady. Brazylja dwanaście, podczas gdy w jej stolicy, Rio de Janeiro jest akredytowanych tylko siedmiu posłów. Urugway na całą Amerykę południową posiada osiem poselstw, z których cztery są kolektywne.

Te szczegóły obrazują nam do jakiego stopnia jedno państwo południowo-amerykańskie jest izolowane od drugiego państwa i jak ta izolacja wpływa ujemnie na realizację unji latynoamerykańskiej, której tak obawają się Stany zazdrosne o swoje kierownicze w panamerykaniźmie stanowisko.

Dwa terminy latyno i panamerykanizmu nie wyczerpują jeszcze całokształtu problemów. Stany dążą do hegemonji politycznej i ekonomicznej. Hiszpanja do kulturalnego nad południem prymatu. Półwysep iberyjski ,który przez wieki całe żył w słońcu romantycznego złudzenia, karmiąc się legendą o nieśmiertelnem dziele conquistadorów, przeżywszy w dniu klęski na Kubie zdruzgotanie swojej potęgi politycznej począł się złudzeniem wszechwładztwa swojej kultury. Upokorzona duma narodowa w tem źródle szukała i szuka dla siebie pociechy, nazywając kraje południowo-amerykańskie krajami hiszpańskiemi. „Latynizm" „panamerykanizm" i „iberoamerykanizm" to nie tylko terminy formalne. te czy inne puste nazwy lecz i symbole słowne dwóch odrębnych kultur. dwóch światopoglądów, nic ze sobą nie mających wspólnego.

Ameryka łacińska mówi po hiszpańsku jest więc dzięki temu krajem hiszpańskim. Ameryka łacińska nie istnieje, można mówić tylko o Iberoameryce lub Ameryce hiszpańskiej ponieważ wspólnota języka jest daleko silniejszym węzłem kulturalnym mię-

dzy narodami, niż wspólnota rasy. Latynoamerykanizm i panamerykanizm oznaczają intelektualną wszechwładzę Francji i polityczno-ekonomiczną hegemonję Stanów.

Przed młodemi pokoleniami Ameryki łacińskiej stoją trzy alternatywy: albo wchłonie je kulturalnie Francja wobec względnej słabości intelektualnej iberoamerykanizmu aby z argentyńskiego „gaucho", czy kubańskiego „indio" uczynić wątpliwego Francuza, albo oddawszy się w ekonomiczną niewolę Stanów powiększą zastępy bezdusznych „bussinesmannów", albo też zespolą się z żywą atmosferą Hiszpanji współczesnej, aby z macierzystego gruntu, w ramach ogólnej kultury narodowej czerpać podnietę do dalszego kulturalnego i politycznego rozwoju.

Skąd Hiszpanie w swych rozumowaniach czerpią pewność, że wspólnota języka jest najsilniejszym węzłem między narodami — to oczywiście niewiadomo. Niewiadomo również o jaki język chodzi panu Caballero, który na łamach madryckiej „Gaceta" rzuca ustawicznie hasła iberoamerykanizmu. Polityczna emancypacja za Oceanem pociągnęła za sobą emancypację języka. Dawna jedność językowa zanikła i dziś nprz. między językiem hiszpańskim Meksyku i Chili z jednej strony jest tak wielka różnica, jak między językami Meksyku i Chili, a językiem kastylijskim z drugiej.

Są to oczywiście różnice regionalne, rdzeń językowy pozostał kastylijski ale pierwszy krok ku językowemu rozdziałowi postawiony już został. Musiała to uznać akademja literatury w Madrycie, wciągając do wielkiego, świeżo przez siebie opracowanego „Słownika języka kastylijskiego" 3500 słów-amerykanizmów zupełnie na półwyspie Iberyjskim nieznanych. I odwrotnie dla Amerykanów południowych wydaje się w Hiszpanji podręczniki do nauki języka kastylijskiego: „Gramaticas de la lengua castellana, destinados al uso de los Americanos".

W Argentynie pojęcie kultury narodowej t. zw. „americanismo" przeciwstawia się ciągle kulturze hiszpańskiej. Pisarze południowi twierdzą że nie piszą po hiszpańsku, tylko po argentyńsku, kubańsku czy meksykańsku reformując pisownię i przekręcając słowa. Równie dobrze Belg mógłby się upierać że pisze po belgijsku, a Autrjak, że po austrjacku. Jednakże przyznać trzeba że literatury południowe pisane językiem hiszpańskim żyją życiem niezależnem i własnem. Reasumując dojdziemy do wniosku że ani literatura ani publicystyka za Oceanem nic dziś wspólnego z Hiszpanią nie ma. Ten stan separacji podkreślił ostro w piśmie „Repertorio Americano" wychodzącem w San Jose de Costarica, słynny poeta Yorge Luis Burgos, odpowiadając p. Caballero na jego propozycje zbliżenia.

Po tych „billets-doux", które nadeszły z za Oceanu czas było Hiszpanii rozstać się ze swemi złudzeniami. Jednakże zarówno Hiszpania jak i Stany Zjednoczone w stosunku do Ameryki południowej, czynią wrażenie wytrwałych i upartych zalotników, którzy się nie zrażają odmową ukochanej nawet wówczas, gdy usłyszą odprawę. Podstarzała dekadencka „wynędzniała Europa — pisze w piśmie „Nosotros" Juan Lemarque patrzy z zawiścią na nasze bogactwa naturalne a nasz sąsiad północny, swoich własnych bogactw niesyty łamie barjery państw w rodzaju Nicaragua aby dać ujście swej ekspansji. Nie dziwimy się zawistnym! Mamy jeszcze dwie rzeczy, których oni już nie posiadają: przestrzeń i czas!

Dr. Edward Boye.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

PIORUN W STRAŻY

Wchodzimy w nową fazę dyskusji o utworzenie Akademji Literatury Polskiej. Znany krytyk p. Leon Pomirowski w artykule swym o konieczności utworzenia Akademji, drukowanym w Polsce Zbrojnej nie bez pewnej słuszności zarzuca pisarzom, ewentualnym kandydatom do Akademji, że odzywają się dopiero teraz, gdy sprawa została już poniekąd negatywnie rozsądzona, rację zaś ma, gdy mówi o wrogach Akademji, — którzy „z podejrzanym humorem ośmieszają instytucję tę, jako oślą ławę literatury, żeby wygrywać romantyczną rolę zdechłego lwa!..."

Na usprawiedliwienie pisarzy, ewentualnych akademików wskazują względy pewnej delikatności, czy też niedelikatności koleżeńskiej. Mówię to niestety z własnego doświadczenia. Tyle lat walczyłem publicznie o minimum opłaty za wierszowe, o nagrody literackie, o stypendja dla pisarzy, — nie korzystając nigdy z tych dobrodziejstw, a jednak przez cały czas tej walki atakowali mnie koledzy, niejednokrotnie korzystający właśnie z wywalczonych dobrodziejstw, — jako najchciwszego świadczeń, „zaszczytów" i stypendjów.

Cóż więc dziwnego, że pisarze odzywają się dopiero wtedy, gdy już najbardziej nawet uparte pieniactwo nie posądzi ich o osobiste korzyści? Że odzywają się dopiero wtedy, gdy sprawa przepada, — a odpowiedzialni za nią przed ogółem kolegów laureaci ze Straży Piśmiennictwa Polskiego, wciąż milczą dostojnie.

Milczenie to bardziej chyba opieszałe i zabawne, niż dostojne, bardziej do martwoty snu zbliżone, niż cechy jakowegoś rozmysłu posiadające, przerwał znakomicie, jak zawsze najdzielniejszy śmiało-

ścią inicjatywy i odwagą pióra Wacław Sieroszewski w artykule drukowanym w jednym z ostatnich Głosów Prawdy.

Enuncjację Sieroszewskiego o sposobie utworzenia Akademji Literatury Polskiej uważamy za krok w swoim rodzaju przełomowy, ze względu zaś na atmosferę, jaką wytworzyli dokoła siebie pontifexi maximi ze Straży Piśmiennictwa Polskiego za piorun, oczyszczający zbyt ciężką już atmosferę.

Nie znamy oczywiście przebiegu obrad i charakteru działań szanownej Straży Piśmiennictwa. Sądząc jednak z listu Sieroszewskiego wnosimy, iż w instytucji tej panuje atmosfera dość osobliwa. Dość osobliwa, skoro najbardziej zasłużony i najświetniejszy dziś pośród wszystkich autor „Na Kresach Lasów" publicznie wykłada swój program pracy nad utworzeniem Akademji. Widocznie program ten nie mieści się w ramach dyskusji na posiedzeniach Straży? Czy też posiedzenia te nie odbywają się wcale? Czy też, jeżeli się odbywają, tak pięknie zagwożdżone są skostniałemi obrzędami, że przez porządek dzienny niepodobna się przecisnąć z dyskusją na temat konkretny?

Tak, czy inaczej, — artykuł wspomniany zdaje się ukazywać jakąś znaczną różnicę pomiędzy poglądami Sieroszewskiego a gronem autorów ze Straży.

Merytoryczna strona wypowiedzi Sieroszewskiego jest nader znamienna. Wielki pisarz domaga się przedewszystkiem, aby Akademja była instytucją zdolną do pracy, do codziennej, porządnej roboty. W tym celu wielki pisarz powtarza z naciskiem, by w składzie Akademji uwzględniono udział sił młodych.

Sieroszewski, — całkiem zresztą słusznie, — żąda, by sprawę nominacji pierwszych członków tej instytucji rozstrzygnął Rząd.

Jeżeli chodzi o obciążenie Akademji ilością nazwisk pisarzy, skąd-inąd wielce zasłużonych, lecz już steranych życiem i niezdolnych do uciążliwej pracy w instytucji, — proponuje Sieroszewski utworzenie członkostw honorowych, opatrzonych pensją, która zapewniałaby owym członkom honorowym spokojną starość.

W sprawie uregulowania społecznych stosunków literackich posuwa się obecny prezes Związku Zawodowego Literatów Polskich bardzo daleko: Twierdzi on, — wedle mego zdania całkiem słusznie, — że Akademja, przy odpowiednich zarządzeniach, może wcale nie ciężyć Rządowi i może opłacać swe wydatki z dochodów, z których dziś nikt nie czerpie, względnie, które całkowicie przepadają w kieszeniach wydawców.

Dochody te stanowić mogą i powinny procenty z klasyków, którzy stali się własnością publiczną, narodową (a nie kapitału wydawców) wreszcie udział częściowy wydawców w funduszach ściąganych na ubezpieczenie pisarzy na starość.

Teza zupełnie słuszna, gdy zważymy, iż wydawcy w odróżnieniu od wszystkich pracodawców, nie ponoszą żadnych ciężarów w stosunku do głównego wyrobnika książki, tj. do pisarza.

Poglądy Sieroszewskiego na te sprawy wywołają z pewnością, zwłaszcza o ile okaże się, iż poczną zbliżać się ku urzeczywistnieniu, całą burzę w Związku Księgarzy. Nie obejdzie się tu zapewne, — jak to się działo już przecie przy uchwalaniu ustawy o prawie autorskiem, — nie obejdzie się tu zapewne bez delegacyj, i procesyj i obrazy zasadniczej. Kapitał księgarski, zabijający polską książkę kolosalnemi cenami za pośrednictwo przy sprzedaży (do 50 proc. za książkę wziętą w komis) udowodni zapewne, że z powodu 2, czy 5 proc. przekazywanych na fundusz ubezpieczenia autorskiego wypadnie podrożyć „towar" o 20 proc.! Ba, — że z powodu czterech groszy młodzież przestanie czytać Mickiewicza i Słowackiego!

Nie chodzi nam tu jednak o krokodyle łzy wydawców. Ważniejszym od nich jest głos wielkiego pisarza, który wykazuje dowodnie szerokiej opinji publicznej, jak poważny kompleks spraw teoretycznych i praktycznych ma przed sobą Akademja Literatury Polskiej.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

WŁODZIMIERZ ŻELECHOWSKI.

W HALI MASZYN

Hala maszyn ogromna, woń zagrzanych smarów,
łurgoły kół stalowych setkami obrotów,
syk przeciągły, nat. .ny, zgęszczającej się pary
i kłapnięcia nierówne transmisyjnpch splotów.

Pomiędzy groźby maszyn: Uchwycę... uchwycę...
wszedł półsennie z pękatą, tłustą oliwiarką
(rzecby można, że w śmierci lub życia granicą)
spracowany mechanik o schylonym karku.

Nagle — krzyk rwący, straszny, pomieszany z jękiem...
— stukot maszyn ustaje, ścisza się, rozwleka...
Zbladłe usta robotnic powtarzają z lękiem
„Wiecie — wiecie... w tej chwili... porwało człowieka!"

NOWI WYGNAŃCY NA SYBIR.



Duch Marxa: I pomyśleć, że to wszystko robi się w mojem imieniu

„De Notenkraker"

RADJO

Zwyczajne biuro. Duży dom, pokratkowany na szatnie, kancelarje i gabinety. Taki sam, jak i w Centrali Nasion, woźny ze złotym paseczkiem. Po korytarzu dreptzą ci, którzy w poczekalni już nie mogli wytrzymać i ponuro zerkają na tabliczkę: „Dyrektor". Złośliwe mlaskanie maszyny szaleje za któremiś drzwiami — wiadomo, że tutaj także czyjeś błyszczące paznokcie biegają po klawiszach amerykańskiego zwierzęcia.

Goniec z pocztą sunie zygzakiem, kuszony przez wszystkie dziurki od klucza, plując do wszystkich spluwaczek.

I tak samo, jak w każdem biurze, telefon po psiemu urywa się z łańcucha, aż póki pan nie wrzaśnie: „Couche, bestjo!!"

A jednak jest w tym domu fałdzista, aksamitna kaplica, w której — jak w gnieździe — mieszka bóg. Kwadratowy bóg, umieszczony na złotych łańcuchach — Mikrofon.

Podobna do czarnego liścia kapłanka wsuwa się między kotary i, wzniósłszy oczy odmawia zaklęcie: „Hallo, hallo! Polskie radjo. Fala 422 metry. Zaczynamy koncert popołudniowy. Pani Zofja...

Wtedy jeden z wiernych uderza w klawisze, a jedna z wyznawczyń pieśnią zaczyna wielbić kwadratowego boga na złotych łańcuchach.

Głos, otulony w aksamitne zwoje, faluje miękko, nie śmie wybuchnąć, mizdrzyć się, przymierać. Płynie równy, jak katolicka litanja. A złota tarcza na czarnem ciele boga rośnie.

Kiedy milkną, między dwiema frazami, śpiewające usta — na ludzką samicę w małem fałdzistem gnieździe patrzy z Mikrofonu ogromna twarz Świata.

Godziny dreptzą skłopotane, jak myszy; i minuty — jak mole — niszczą dzień włókno po włóknie. Między palcami przeciekły pieniądze, zapracowane na kopenhaskie lwy na wesoły śmiech, na podróż trnasatlantykiem, a chociażby na Rabindranatha w komplecie... Popłynęły te monety do aptek i do rzeźnickiej kieszeni na brzuchu.

Syn ma gorączkę, mąż wcale na obiad nie przyszedł. Kucharka ciska rondlami, bo znowu nie pójdzie do kina; miły znajomy na ulicy nie poznał i przez telefon dobijają się same pomyłki.

Chyba już wyginęły wszystkie dzikie i porcelanowe zwierzęta, gwiazdy — rozkruszone — opadły i żaden ocean nigdzie pianami nie błyszczy. Tyle tylko żywiołu, co w deszczowej kropli, tyle światła, co w „ekonomicznej" żarówce, tyle egoizmu, co w myszach.

Pani Ewa — smutna — zakłada słuchawki. ....„Hallo hallo! Polskie Radjo..", — inkantacja kapłanki. I po urzędowej zwrotce, chrzęstliwy szmer napełnia uszy. Niezmierne i Niewidoczne które opływa wszystkie głowy, wszystkie lasy, księżyce, najdawniejsze wiary i najpóźniej przyjść mające swobody — to wieczne tętni w słuchawkach.

Pani Ewa przestaje słyszeć swój dom. Po chwili w bardzo dalekiem mieście kamerton podaje „la" i kilkoro skrzypiec zaczyna docinać ton; wiolonczela pojękuje zcicha i flety rwą się do pieśni, jak rozkochane słowiki. Moment ciszy... Aż wreszcie wielka chmura dźwięku — kłębowisko strun, oddechów, klawiszy, drobniutkich i wielkich cielistych nut.

Symfonja.

Pani Ewa — gospodyni wśród ceglanych ścian, kołysze się na stugłosnym oceanie, przebiera palcami po gwiazdach, a lasy wołają ku niej siostrzanem imieniem.

Marja Kuncewiczowa.

Katowice, 4.II 1928 r.

NA MARGINESIE

Pierwszy numer miesięcznika „Przegląd Piechoty" prócz całego szeregu artykułów fachowych, pisanych porządną polszczyzną a nacechowanych wielkiem doświadczeniem wojennem i żywą łącznością z praktycznemi zadaniami największej broni jaką jest piechota, przynosi we wstępie p. t. „Do Oficerów Piechoty" piękną przedmowę gen. dywizji Edwarda Rydza-Śmigłego.

Przedmowa ta świadczy, że generał Rydz-Śmigły włada szlachetną zwartą polszczyzną, że świadomie panuje nad piórem, że posiada stylistyczne walory pierwszorzędnego pisarza wojskowego.

Z pośród artykułów wyróżniają się prace S. Rutkowskiego, J. Dąbrowskiego, R. Starzyńskiego, J. Sadowskiego.

***

„Ruch Literacki", miesięcznik, wydawany przez prof. D-ra Gubrynowicza przynosi za miesiąc luty wśród artykułów Kawyna, T. Makowieckiego (Promethidion Norwida a Dworzanin Górnickiego), St. Dobrzyckiego (Koloniści niemieccy w Chłopach Reymonta) piękny artykuł Rafała Blütha p. t. Rewizja poglądów na romantyzm.

W głęboko ujętej rozprawce swej p. R. Blüth, zastanawiając się nad konfliktem dwóch największych twórców, Mickiewicza i Słowackiego, dochodzi do przekonania, iż był to konflikt, czy też spór tragiczny w klasycznem pojmowaniu tego słowa, — konflikt ofiary z poezją. Praca R. Blütha dowodzi o poważnych studjach z danego zakresu i wydaje się być fragmentem jakiejś wielkiej szlachetnej całości.

***

W ostatnim numerze miesięcznika „Droga" zwraca uwagę zupełna niewspółmierność pomiędzy miejscem poświęconym literaturze pięknej a teatrowi. Literatura zepchnięta tu jest do kroniki sprawozdawczej, natomiast teatr zajmuje prawie całkowicie miejsce rozważań teoretyczno-estetycznych. Rzecz inna, iż praca p. W. Zawistowskiego w tej dziedzinie p. t. Teatr Imienia Bogusławskiego jest pracą

świetnie ujętą i w pewnym stopniu mogącą stanowić wzór tego rodzaju monografij.

***

Nowe władze Straży Piśmiennictwa polskiego składać się będą obecnie z prezesa (Leopold Staff) wiceprezesa (Andrzej Strug) i sekretarza (Zdzisław Dębicki). Może nareszcie w tym nowym składzie prezydjum Straży Piśmiennictwa ruszy z miejsca trochę raźniejszym krokiem i zaprzestawszy chińskich obrzędów protokułu zabierze się do pracy, nietylko nad kwestjami „reprezentacji", lecz również w dziedzinach konkretnych, dotyczących literacko-organizacyjnego życia.

***

Nie można tego inaczej nazwać, jak tylko, że Opera Warszawska układem, stylem, składnią i gramatyką librett operowych sprzedawanych w gmachu operowym, pozostającym pod opieką miasta szerzy zupełne zgorszenie. Radzimy przejrzeć libretto z opery komicznej p. t. Tajemnica Zuzanny, wystawionej w Teatrze Wielkim. Tak niechlujnej, niezdarnej polszczyzny nie ważyłby się drukować dzisiaj żaden Sennik Egipski, czy inny podręcznik wróżbiarski.

Czyż to nie wstyd, by wielka artystyczna instytucja miejska nie zdobyła się na inicjatywę w tym kierunku i nie powierzyła odpowiednim siłom tej sprawy?

Nie mówimy już nic o tłomaczeniu tekstu tej opery, tłomaczeniu, które urąga poprostu zdrowemu rozsądkowi!

***

Kwadryga, — czasopismo literackie za luty — marzec wychodzi w dużym formacie ośmiu stronic. Przynosi poezje grupy poetów (Bibrowski, Ciesielczuk, Flukowski, Słobodnik, Rydzewska i inni). Prozę rozpoczyna tu artykuł I. Erenburga, poza nim probują w prozie swych sił W. Wernic, Cz. Straszewicz i J. Ostaszewski.

W dziale publicystycznym rozprawy w Wiadomościami Literackiemi i z J. N. Millerem.

xyz.

PRO DOMO SUA

Literat polski, jeżeli jest wierny swemu zawodowi i talentu swego nie sprzedaje pierwszemu lepszemu biuru, przedsiębiorstwu lub redakcji, żyje, tworzy i umrze w nędzy. Publiczność mało o tem wie i niewiele ją to wzrusza. Zwykle dopiero śmierć pisarza odsłania cały ogrom jego niedostatku, jak to było z Przybyszewskim. Listy przedśmiertne, wspomnienia przyjaciół ogłaszane w pismach, uchylają rąbka tajemnicy i tragiczne szczegóły walki o byt najzasłużeńszych pisarzy wychodzą na jaw.

Umarłemu — kadzidło, Polonja Restituta, pogrzeb na koszt państwa, składka na pomnik. Kult zmarłych nie zapewnia jednak chleba żywym. O tych znowu się nie myśli, lub myśli się niedostatecznie — do następnego pogrzebu.

Wielorakie są przyczyny tej nędzy literackiej. Zła kalkulacja książki, sprowadzająca dochód autora najwyżej do 10 — 15%, gdy procent księgarza za książkę wziętą w komis waha się od 30 — 50%, wysokie porto pocztowe na książki, skostniałość metod handlu księgarskiego, niedostateczna propaganda czytelnictwa, słabe zainteresowanie publiczności słowem drukowanem, nizkie wierszowe w pismach — to jedna kategorja przyczyn.

Zbyt mało wydatna opieka państwa i władz komunalnych, szczupłość budżetów na cele kulturalne, wydawnicze i literackie, ubóstwo funduszów zapomogowych i stypendjalnych, całowity brak inicjatywy i ofiarności prywatnej, wyrażającej się w innych krajach w licznych fundacjach na rzecz literatury — oto druga przyczyna.

Wreszcie — pro domo sua — opieszałość i asolidarność samych literatów, nie umiejących się zorganizować w zrzeszenia dostatecznie silne, aby mogły skutecznie przeciwstawić się apetytom kutego na cztery nogi kapitału i wywalczyć dla ludzi pióra znośnych warunków bytu i pracy.

Na terenie księgarsko-wydawniczym zmian na lepsze zauważyć jeszcze nie można.

W poczynaniach władz państwowych i municypalnych — jest krok naprzód. Postęp ten wprawdzie w drobnej mierze nawet nie wyczerpuje obowiązków państwa względem literatury i nie zaspakaja najniezbędniejszych potrzeb, ale bądź co bądź są do zanotowania fakty pocieszające, jak podwojenie wysokości nagrody państwowej, udzielenie emerytury kilku zasłużonym pisarzom, lub rodzinom po nich, zapowiedź utworzenia Akademji, ustanowienie nagród miast polskich, projekt funduszu emerytalnego, omawiany przez Radę Miejską Warszawy, konkurs gódnośląski i t. d.

Wśród samych literatów zaś uświadomienie sobie konieczności solidarnej akcji, korzyści wspólnej walki o swe prawa i interesy wciąż jeszcze jest niedostateczne.

Ogół literatów, zgrupowanych w Zrzeszeniach, zwykł zwalać cały ciężar roboty na barki paru jednostek, ani inicjatywą, ani chęcią współpracy nie współdziałając w wysiłkach. Łatwa, a bezwzględna krytyka bez wniknięcia w ogrom trudności, które piętrzą się na drodze pozytywnej pracy, jest jedyną formą współdziałania.

W tych warunkach pracuje Związek Zawodowy Literatów Polskich i wbrew zarzutom bezczynności, stawianym przez tych, którzy sami palcem nie ruszyli, aby w pracy ulżyć, wykazać się może zdobyczami wielkiego dla świata literackiego znaczenia.

W zaniedbanej u nas zupełnie dziedzinie ustawodawstwa w zakresie prawa autorskiego, Związek osiągnął poważne rezultaty, opracowując swe poprawki do ustawy o prawie autorskiem, forsując jej przeprowadzenie przez ciała ustawodawcze, inicjując wspólne obrady nad Skarbem Narodowym Literatury i Sztuki, uczestnicząc w pracach międzynarodowego Kongresu prawa autorskiego, wreszcie projektując i doprowadzając do końca zawarcie konwencji

ze Stanami Zjednoczonemi, dzięki której dzieła pisarzy polskich uzyskiwały ochronę prawa w Ameryce.

Związek też przyczynił się do powstania nagród miast polskich, ustalił minimalne normy honorarjów autorskich, zaprojektował normalny wzór umowy wydawniczej, wszedł w porozumienie z zawodowemi organizacjami pracowników drukarskich i księgarskich, dla wspólnej obrony interesów, walczył — niestety bez powodzenia — o utrzymanie Ministerstwa Kultury i Sztuki i interwenjował w sprawie Domu Polskiego w Rzymie, gdy powstał Zamiar oddania go Watykanowi.

Związek przeprowadził skuteczną kampanję przeciw podniesieniu cła wwozowego na papier, zabiegał u władz skarbowych w sprawie niewłaściwego wymiaru podatku spadkowego od spuścizny literackiej, uzyskał dla wszystkich swoich członków ulgi paszportowe, a obecnie prowadzi starania o ulgi w tramwajach i w opłatach telefonicznych.

Związek zorganizował poradnię prawną dla literatów, pokrzywdzonych przez nakładców, oraz sąd koleżeński dla rozpatrywania zatargów między członkami.

W wielu uzdrowiskach Związek uzyskał ulgowe warunki dla literatów, pośredniczy w uzyskiwaniu stypendjów, zasiłków i emerytur, opinjuje o udzielaniu doraźnych zapomóg i stale rozdziela je między najbardziej potrzebujących.

Związek organizuje zjazdy literackie, akademje, odczyty, pogadanki szkolne i uczestniczy w każdej akcji kulturalnej i literackiej, wreszcie, zajął się ustaleniem warunków współpracy literatów w Radio Polskiem, z pomyślnym wynikiem zabiega w Ministerstwie Oświaty w sprawie literatów, będących jednocześnie nauczycielami.

To suche, protokularne wyliczenie najważniejszych prac Związku, jest wymownym dowodem nietylko tego, że w ciągu 7 lat istnienia, pod przewodnictwem Żeromskiego, Struga, Sieroszewskiego, Kadena-Bandrowskiego i obecnie ponownie Sieroszewskiego nie próżnował, ale zarazem i miarą tego, co mógłby zdziałać, w jakim stopniu mógłby się przyczynić do poprawy doli literatów, gdyby miał inne warunki rozwoju i gdyby sami literaci zechcieli wreszcie zrozumieć, że niedość jest zapisać się do Związku, gdy się potrzebuje paszportu zagranicznego, lecz swojej organizacji zawodowej trzeba udzielić ponadto swego poparcia, swej inicjatywy i współpracy.

Stanisław Czosnowski

NAD KSIĄŻKĄ

Boy-Żeleński, Flirt z Melpomeną. Wieczór siódmy. Warszawa, Gebethner i Wolff, (1927).

Boy-Żeleński, Plotki, plotki... Warszawa, „Bibljoteka polska", (1927).

Boy-Żeleński, W Sorbonie i gdzieindziej (Wrażenia paryskie). Warszawa ,F. Hoesick, 1927.

W ciągu niespełna pół roku trzy tomy! — to przecież rekord pracy publicystycznej. Trzy tomy artykułów, recenzyj teatralnych i wspomnień o Paryżu, — wciąż ta sama twarz, ale zmieniająca bez przerwy swój wyraz. Boy jest swego rodzaju fenomenem. Z trudem ulega klasyfikacji czy opisowi co irytuje wielu, np. p. Napierskiego, który powiedział o Boy'u: „swada jako właściwość umysłowa". P. Napierski wziął rzecz złośliwie i dlatego trafił w sedno, leżące na... powierzchni. Boy'a można podziwiać jak gejzery islandzkie, jak zjawisko biologicznego raczej, niż literackiego rzędu.

Artykuły i studja Boy'a są pograniczem literatury i życia towarzyskiego. Przy czytaniu ich ścierają się zawsze kryterja taktu z ciekawością, należącą też przecie do cnót towarzyskich. Boy wie o tem dobrze sam. Najlepszym tego dowodem są tytuły „Flirtów z Melpomeną", „Breweryj", „Słówek", „Plotek" i t. p. Niedaleki jest dzień, gdy Boy'owi zarzucą płytkość, dowodząc, że jest ona synonimem towarzyskości, a całą jego zasługę sprowadzą do genjalnego kolportażu literatury francuskiej u nas.

I może wyda się tem pogląd prawdziwym, jak każde przeciwstawienie się eklektycyzmowi. Ale eklektycyzm Boy'a jest djaboliczny, zawiera pewne cechy chorobliwości, jest niejako furją. Dusza ludzka dziwne miewa szwy i zrosty. Boy np. przez dłuższy czas twierdził skromnie, że nigdy w życiu nie będzie prawdziwym recenzentem teatralnym, bo jest on sobie tylko skromnym dyletantem i t. p.... Tymczasem jest on przysięgłym krytykiem teatralnym i ma własną manierę, ba — naśladowców! (znam takich osobiście), jest potentatem opinji ten polski — francuskiego chowu — „dyletant".

„Boy" jest problemem właściwie nie literackim, ale praktycznym, życiowym, jako pewien sposób postępowania. Kpiąc z wszystkiego, zdobywa się na wszystko. Drwiący z uczonych, pobrzękujący często w moljerowską lewatywę, zostaje Boy mianowany profesorem, — gdyby nie całkowite, bezapelacyjne powodzenie, towarzyszące mu, mógłby Boy utworzyć u nas nową szkołę filozoficzną, a raczej odrodzić starą — cyniczną. Ta linja zaznaczyła się najczyściej w „Słówkach", ale potem sfilistrzała.

Rzecz zastanawiająca z punktu widzenia „higjeny" literackiej, że Boy nie natrafił dotychczas na żaden sprzeciw. Tembardziej zastanawiające, gdyż Boy jest calkiem jednogatunkową indywidualnością, co zazwyczaj wywołuje najłatwiejszą przeciw sobie reakcję. Jedno z dwojga: albo „Boy" był u nas „koniecznością dziejową", albo też wrzód nie doszedł jeszcze do postaci czyraka. Co nam najbliższa przyszłość przyniesie à propos Boy'a? Z pewnością nowy tom wrażeń paryskich.

Jerzy Duhamel, „Zapach świata".

Warszawa, „Rój", 1928. Przekład autoryzowany H. B.

Powieść Duhamela wprowadza nas w środowisko charakterystycznych młodzieńczych uczuć, będących może nietyle miłością samą, ile jej wyczekiwaniem. Tu dałaby się utworzyć koncepcja: miłość młodzieńcza jako nauka otrzymywania ciosów. Duhamel,

jak się to często zdarza majstrom, bierze ograny temat: mężczyzna nie wie, która z dwu kobiet jest mu przeznaczona. Rzecz cała opiera się na subtelnych w pomyśle, ale w zasadzie krótkich i wyraźnych w przeprowadzeniu, przejść psychicznych. Pod tym względem „Skała Horebu" przypomina raczej nowelę, gdzie bohater jest ostrym zarysowany konturem.

Jako sztuka tworzenia nastrojów (rzecz ogromnie trudna przy braku gadatliwości, typowej np. dla Zweiga) powieść Duhamela jest, biorąc rzecz normartywnie, niemal wzorowa. Ale cały wątek „rosyjski", cały szych filozoficzno-encyklopedyczny, którym w skąpo odmierzonych dawkach częstują się rosyjscy studenci, jest bardzo marny, mimo pozory. Tak samo jak i demoniczna Daria Herenstein. Prawdopodobnie niedoskonałość ta była zamierzona przez autora, ale wobec tego autor zachował się nielojalnie względem własnych bohaterów. Psuje to książkę tylko częściowo, nie demontując całości.

Tłumacz zbytecznie zmienił w przekładzie tytuł powieści.

H. D.

Z KRAJÓW ŁACIŃSKICH

„Les cloches de Saint-Amarain" Jacques Emile Blenche, wydane przez firmę paryską Emile Paul stanowi pierwszy tom pełnego wydania dzieł Blenche'a, które wkrótce ma się ukazać. Tom drugi będzie nosił tytuł: „Aymeris".

***

Jean Prevost pracuje od paru miesięcy nad romansem „Dix huitième année", i nad romansem, opartym na treści starożytnej sagi skandynawskiej, Hrold Hardadra.

***

Daudet i Maurras dwaj przywódcy „Action française" zostali już dawno wyklęci przez Kościół. Obecnie nieszczęście to spotkało Marcela Prévost, którego książka „La retraite ardente" została wzięta na indeks.

***

Dla uczczenia stuletniej rocznicy urodzin Tołstoja powstał w Paryżu komitet pod przewodnictwem Paul Boyer'a. W dniu rocznicy mają się ukazać w przekładzie francuskim cztery książki Tołstoja, napisane między 1868 a 1872 rokiem.

***

Nieśmiertelne dzieło Cervantesa. Don Quichote zostało sfilmowane w Hiszpanji. Protektorat nad imprezą objął Alfons XIII.

***

W Madrycie zaczęły wychodzić dwa nowe czasopisma „Estampa" i „Cosmopolis". „Estampa" poświęcona sprawom malarstwa i literatury, redagowana jest przez Antonio Linares. „Cosmopolis" zwraca uwagę nie tylko wspaniałą szatą zewnętrzną, ale i bogactwem treści. W pierwszym numerze znajdujemy portrety wszystkich głównych aktorek hiszpańskich, nowele Hernander Cat'a, oraz wywiad z patrjarchą literatury hiszpańskiej, Polacio Valdes, z którego dowiadujemy się szeregu ciekawych szczegółów. „Cosmopolis" redaguje słynny powieściopisarz, Azorin.

***

Dramaturg i malarz kataloński, Santiego Rusinol oznajmia na łamach pism barcelońskich, że do Barcelony ma przybyć wkrótce Leon Daudet, który w Ateneum wypowie szereg odczytów o literaturze prowansalskiej.

***

Sinesio Delgado dziennikarz i popularny komedjopisarz hiszpański prezes Związku autorów hiszpańskich zmarł w Madrycie dn. 13 lutego r. b. w wieku sześćdziesięciu lat. Był doktorem medycyny, tak, jak Baroja i Vital Aza i tak jak oni zdradził dla literatury sciencję Ypokryta. Przez piętnaście lat był współpracownikiem „Madrid Comico", a przez lat pięć redaktorem największego pisma codziennego „A. B. C.". Później poświęcił się teatrowi i napisał około stu sztuk komedyj i tak zwanych „zarzueli".

***

„Renaissance d'Occident" publikuje olbrzymi artykuł Kamila Pitollet „L'Espagne sous la dictature". Pitollet powtarza właściwie obserwacje hiszpanisty włoskiego, Carlo Bolselli, drukowane na łamach włoskiego „Opere e i giorni"... i nie wskazuje źródła. Dytyramby pochwalne na cześć Primo de Rivery dziwnie uderzają u autora, który jako biograf Ibaneza, w książce swej: „Ibanez, ses romans et le roman de sa vie" deklarował się jako zwolennik hiszpańskiego radykalizmu.

***

Wyszła po włosku doskonała monografja o Platonie, pióra Giovanni Semprini w kolekcji wydawniczej: „Maestri di pensiero".

***

Nowe nagrody literackie powstały świeżo we Włoszech. „Premio della Fiera Letteraria" wynosząca 5000 lirów, ma być przyznana za najlepszą książkę, która się ukazała między grudniem 1927 a listopadem 1928. Jury stanowić będzie pięciu pisarzy, mieszkających stale w Medjolanie.

***

W Rzymie stworzono „Premio dei Trenta" za najlepszy romans. Wreszcie we Florencji powstała nagroda najpoważniejsza „Premio di Toscana" wynosząca 20.000 lirów.

***

Trupa hebrajska da w marcu r. b. szereg przedstawień w Turynie, Trieście, Medjolanie i Genui. Trupa złożona z aktorów-żydów wystąpi w szeregu dramatów religijnych, których treść zaczerpnięta jest z historji żydowskiej. Aktorzy recytować będą w języku hebrajskim.

eb.

WŚRÓD CZASOPISM

O MIŁOŚCI DO KSIĄG

Słynny miłośnik ksiąg w Anglji XIII-go wieku, kardynał Ryszard de Bury w traktacie bibljofilskim „Philobiblon" poświęcił cały rozdział temu, „jak należy troskliwie obchodzić się książkami i utrzymywać je w porządku". Jak świadczy artykuł „Tregedja dzikowska tragicznem ostrzeżeniem" pióra Jana Wiktora w nr. 8 „Wiadomości Literackich" naiwne dziś może na Zachodzie, prostolinijne i rubaszne rady średniowiecznego bibljotekarza (tak świetnie spolszczone przez Jana Kasprowicza) są dla nas aż nadto aktualne. Oto przytoczona w tym artykule opinja dr. K. Piekarskiego, jednego z najkulturalniejszych znawców bibjotekarstwa: „Polacy nie szanują książek. Zniszczenie zbiorów polskich jest w równym stopniu rezultatem polskiego niechlujstwa jak i rabunków przychodzących z zewnątrz. W Polsce niema jednej książki z pietyzmem zachowanej. Druki najporządniej zachowane są te, które w ostatnich latach zakupione zostały w zagranicznych antykwarjatach".

Nic na to, niestety, nie pomogą nasze Towarzystwa Bibjofilskie, drukujące zaptem w 100 egzemplarzach swoje wydawnictwa, m. in. „O miłości do ksiąg w Polsce" . Natomiast artykuły takie, jak powyższy Jana Wiktora, zwrócą przynajmniej uwagę na to, że najgorsze przykłady w tej dziedzinie idą z góry drabiny społecznej, a heroizm poświęcenia życia w obronie bezcennych skarbów kultury był dziełem — dwóch stolarzy, murarza, strażnika, ucznia VI klasy, dwóch czeladników i syna funkcjonarjusza, który zwał się Freyer. Ciemnotę naszych beati possidentes przeszywa w huczącej chmurze pożaru dziewięć błyskawic, dziewięć bohaterskich nazwisk z ludu.

ZACHMURZONA TĘCZA.

Poznańskie pismo tygodniowe „Tęcza" miało najszczersze zamiary traktować od początku swego istnienia świat cały w tonach pogodnych, harmonijnych, kojących, słowem 52 razy do roku być w każdej rodzinie wielkiej i polskiej ojcu, matce i wszystkim dzieciom czytaniem godziwem i procesów myślowych nie komplikującem. Aż tu nagle „w łączności myślowej" (tak się chwali sama redakcja) i obrona Poznania i dywersja w stronę Warszawy i odwołanie się do Wrześni — Jana Skorca, A. Grzymały-Siedleckiego, P. G. i może dwóch redaktorów oprócz „odpowiadającego za ogłoszenia", wszystko z powodu M. J. Wielopolskiej.

Insynuuje się przy tej okazji, że „pani margrabina żalu w swem sercu stłumić nie może, iż „Nuwopowry" w Poznaniu niegościnnego doznały przyjęcia". Podobno już nawet Jan Chryzostom Pasek pisząc o jakiejś „rezolutnej babie" miał na myśli naszą autorkę. Skoro aż do Paska panowie sięgacie godziłoby się zacytować, jak to J. C. Pasek opisuje roku pańskiego 1664 „szpikowanie Francuzów" nienawistnych... w teatrze, z czego „stał się tedy po Warszawie wielki rozruch, a pan Pasek drapnął do pana Okunia.

Wszystko to bliżej pasuje do tego, co miało miejsce w Teatrze Polskim w Poznaniu dnia 4 czerwca 1926 roku z okazji 3-go przedstawienia sztuki „Nuwopowry", siłą zdjętej z afisza przez młodzież quasi-narodową, niż anegdota o p. Sułkowskiej".

„Niegościnne przyjęcie" było pospolitą burdą, do której nawet skłonny do awantur Jan Chryzostom Pasek ręki by nie przykładał, gdyż czytamy w przedmowie do tej sztuki: „odradzano ją wystawiać we Lwowie, Krakowie i Warszawie ze względu na żydów, którzyby ją niewątpliwie zbojkotowali".

Czytanie J. C. Paska zaleca się współpracownikom „Tęczy'" w całości, a nie w wyciągach dla młodzieży.

GŁOS Z ZA OCEANU.

Jak donosi „Wychodźca" pod tytułem „Z mojego pobytu w Polsce" trzy pisma polskie w Ameryce — „Wiadomości Codzienne" w Cleveland, „Dziennik Polski" w Detroit — drukowały śliczne pogodne wspomnienia profesora T. Siemiradzkiego z pobytu wycieczki złączonych Komitetów im. Piłsudskiego z Ameryki w Polsce.

Profesor T. Siemiradzki jest autorem „Dziejów Polski", które torowały na wychodztwie drogę ideom walk niepodległościowych, niestrudzonym szermierzem Polski zjednoczonej pod wodzą Komendanta i ukazanie się tych wspomnień w wydaniu książkowem byłoby najwłaściwszem upamiętnieniem zeszłorocznej wycieczki piłsudczyków z Ameryki w Polsce.

T. Gleyden.

O KSIĄŻCE

ROZKOSZE BIBLJOFILSTWA.

Ażeby pojąć przyjemności ksiąg starożytnych miłośnika, towarzyszmy mu w jego wyprawie bibljomańskiej. Wystawmy sobie, iż on powziął wiadomość, że w niewielkiej odległości od miejsca, w którem się znajduje, wznosi się gmach starożytny, w którym się ukrywa liczna bibljoteka. Natychmiast więc wybiera się tamże, z uczuciem rycerza, który śpiesząc na wyprawę wojenną, spodziewa się wrócić ze sławą i z bogatym łupem. Jedzie — a przez czas podróży serce jego bije trwogą i nadzieją. — Zdaleka spostrzega on już gmach poważny, ciemny, mchem obrosły, jakby rdzą czasu powleczony, i w chciwej wyobraźni wystawia sobie ukryte tamże skarby nieprzebrane pism i druków, których dotąd nikt jeszcze godnie nie oceniał. Przybywa nakoniec w miejsce naznaczone. Zapuszcza się w ciemne kurytarze, przez które przechodząc, zgadnie, że tu za temi drzwiami złożone są te klejnoty, te drogie kamienie literackie, które pragnie obejrzeć. Uczuł on bowiem zapach ksiąg i papierów starych, który tak jest miły, antykwarjuszom, a który niedawnemi czasy, modą uświęcony został. Przybywa do właściciela lub do stróżów tego gmachu i tego księgozbioru. Prośbą usilną, słowami udatnemi, stara się sobie przystęp do niego wyjednać. Co za radość, gdy go sobie wybłaga. Co za radość, gdy się już otworzą te drzwi, ku którym wiodło go przeczucie. Wchodzi do obszernej sali, w której w nieładzie, w nieporządku, snem spokojnym od lat wielu, żadną ręką nieporuszone spoczywają i poważne in folio i, więcej powabne dla bibjofilów, w mniejszych formatach dzieła. Wszystkie kurzem okryte, lecz jak szlachetna bitew kurzawa nie zraża rycerza, tak pył i kurz bibljoteczny, nie wstrzyma bibljomana. Rzucił okiem na jedną szafę, w niej księgi w półskórek lub papier oprawne, zgadnie więc, że między niemi znalazłby tylko dzieła z 18-go wieku, same kazania lub panegiryki, łacińskiemi literami drukowane — nie zbliża się więc do tej szafy. Lecz biegnie do tej drugiej. Po samej oprawie pergaminowej, po wyciskach strożytnych, zdobiących okładki

książek w niej umieszczonych domyśla się, że tam się jego serce uraduje. Chwyta jedno dzieło. Uderza go najprzód druk pierwotny, ale obcy — lecz za nim znajdzie się dziełko z herbem miasta Krakowa, lub z literami F. U., które na swych drukach Ungler czasem umieszczał. Bierze drugą książkę, w niej spostrzega kilka razem oprawnych dziełek, a jedno rzadsze od drugiego, a między niemi takie, o których on nigdy, a może i żaden z bibljografów nie zasłyszał jeszcze. Dalej napada na wiersza Reja — Paprockiego — Klonowicza — na jakiś psałterz polski z 16-go wieku, na jakiś zielnik pięknie zachowany — a jeżeli jeszcze natrafi którą ukrywać potrzeba, aby nią e-ezkektóraktósoopotaaa na jakiś rękopism! jakież uniesienie wewnętrzne radości, którą ukrywać potrzeba, aby nią przewodnika swego nie oświecić o wartości skarbu znalezionego. Dla wprawnego rzemieślnika kilka godzin czasu dostatecznych, do przejrzenia całej bibljoteki. Wybrawszy kilka lub kilkanaście dzieł, wchodzi w układy o ich nabycie. Następuje zamiana, sprzedaż lub darowizna — gdyż nasz bibljoman nie ma zwyczaju pożyczania książek, wydawania na nie rewersu, i nie oddawania ich nigdy. On woli prostą postępować drogą, i nią prawie zawsze do celu dojdzie. Obciążony więc łupem, uradowany pomyślnością wyprawy, wraca do domu. W pojeździe najwygodniejsze miejsce, tuż przy sobie lub przed sobą przeznacza dla swoich zdobyczy. A gdy wróciwszy przy stoliku zasiędzie, z jaką przyjemnością przegląda je, z jaką cierpliwością szuka opisów lub wspomnień zdobytych ksiąg w działach bibljograficznych, jak się cieszy, gdy ich tam nie znajuje. Tak więc bibljoman ma chwile pełne życia, nadziei, zapału i radości.

Andrzej Edward Koźmian.

(Wyciągi piotrowickie. Wrocław 1842. T.I, str. VI — VIII).

POŻYTKI Z KSIĄG.

Wiedz, iż księga bakałarzem
Najlepszym bywa każdemu człowieku,
Tak w młodym, jak i w dojrzałym wieku.
Z ksiąg bowiem pięknych obyczajów wzory
Weźmiesz, i wielkie do cnoty przykłady;
Najdziesz, co w godne wprawi cię humory;
Trafisz i różnych impetów na ślady;
Jakiś w affektach, leniwy lub skory,
Wesół lub smutny: są tu na to rady;
Niewyparzonej nawet jeśliś gęby,
Najdziesz specyał godny na twe zęby.

Jakub Teodor Trembecki

(Wirydarz poetycki. I. str. 3).

Wybrał *Es-te.*

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

Elle Mi-Ka. — Bez wartości.

Dr. S. Just. — Odesłaliśmy już dawno.

Szczęście. — Miły prosty ton. Prosimy o inne jeszcze próby.

R. R. Wilno. Ma Pan napewno, a w każdym razie może Pan mieć rzeczy lepiej, dojrzalej opracowane. Opracowane w sensie wniknięcia w temat, oraz związane z nim możliwościami. Włada Pan formą bardzo poprawnie. Nie można jednak, chyba kontentować się zwłaszcza w sztuce, — zdobyczami dawno już osiągniętemi. Czekamy zatem nowych, lepszych wyników. Może je Pan dać — z pewnością!

Ludwik Fr. Zarzuca nam Pan sielankowość w doborze wierszy, ugodowość — a to jeszcze przecie nie przebrzmiały echa anatem i klątw, jakiemi obrzucała nas przez parę tygodni cała prasa endecka za wiersz Rydzewsiek? Mało było Panu hałasu? Pańska oryginalność, jak dotąd zasadza się na rozwalaniu jakichś czaszek, bryzganiu mózgu i t. p. Pisze Pan tak, jakby chciał koniecznie obrzydzić komuś poczciwe danie np. móżdżek w muszelkach. Tymczasem móżdżek taki, zapieczony lekko z parmezanem, podlany odpowiednio buljonem, przekropiony cytryną jest świetny. Nie może jednak stanowić o oryginalności poezji.

Wilno, ulica św. Ignacego. Wszystkie utwory oceniamy na tej drodze. Redakcja nie zwraca rękopisów. Marki przekazaliśmy na rzecz ubogich.

J. S-ki. Wiersz niezmiernie lichy. Sentencja poczciwa. Sądząc z wiersza, radzilibyśmy Panu porzucić poezję i brać się do pracy społecznej.

Emilja B. Nowelę otrzymaliśmy, przeczytaliśmy, z wielką przyjemnością. Gdyby nie to, że przedstawiciel armji wychodzi u Pani, jako ów niszczyciel życia drukowalibyśmy. Ów poruczek, właśnie typowy porucznik zabijający lisicę psuje obarz i rozrywkę noweli. Skoro wyprowadza Pani bohatera, jako typ, musi działać, jako typ, nie zaś przypadkowo. Na marginesie stwierdzamy, iż wojskowi — co wynika zawsze z części zmiany miejsca pobytu, włóczęgi, ryzyka i t. p. — naogół bardzo kochają zwierzęta. Prosimy o inną nowelę, tembardziej, że w próbce nadesłanej widzimy prawdziwy talent.

Sędziwój. Wiersze — liche. Każdy czas, każda epoka, każdy człowiek wielki danej epoki powinien zachować w artystycznym przejawie swój własny odrębny charakter. — Inaczej — pod względem formy — opiewaliśmy Kościuszkę, inaczej Sobieskiego, inaczej Piłsudskiego. Jeżeli ktoś rymami z początku ubiegłego stauecia i to pospolitemi chce opiewać Piłsudskiego, to nie rozumie stusunku artysty do wielkiej postaci.

Witold Ka Chełm. Wiersze słabe. Martwe. Pisze Pan o jakichś bólach, cierpieniach — nikt nic z tego nie wie!

Zygmunt Sch. Kraków. Radzimy porzucić poezję, nie tracić na nią czasu i oddać się porządnie studjom filozoficznym.

N. Sz. Otwock. Śpiewy nader banalne i pospolite.

Blanka K. Chodziło nam nie tyle o zaktualizowanie a przedewszystkiem, by nie pisała Pani o niczem. Pisze Pani o niczem. O urojeniach, nieprzeprowadzonych przez formę kompozycję, nie skonfrontowanych z życiem i t. p. Staramy się pracować do pewnego stopnia razem z naszymi korespondentami. Dajemy rady na jakie nas stać. Tępimy jednak surowo wszelkie grafomaństwo.

L—bis, Skierniewice. Niestety, wiersz fatalny.

Edenicz, Zakopane. Pisze Pan: „Dlaczego słońce zachodzi wieczorem, dlaczego mroki ścielą się po ziemi" i t. p. Nie daje Pan na te pytania odpowiedzi. My też jej nie znamy. Przyrodnicy odpowiedzą Panu, *jak* się te zjawiska odbywają. Kapłani wiedzą *dlaczego*. Ale sto pytań — to jeszcze nie poezja.

Ed — El, Zakopane. Na swej własnej noweli może się Pan łatwo przekonać chyba! Noweli tej, mimo, iż zawiera 26 stron bitego pisma — niema wcale. Nie przemyślał Pan problemu, nie pozwolił Pan, nie dopracował się do tego, by rzecz sama wynikła z opowiadania. Mamy ciągle do czynienia z Panem, jako z autorem. Tymczasem autor podczas czytania — winien być nieobecny, jeżeli chce, by pomyślano o nim po lekturze. Pan, niby reżyser na próbie miesza się w czasie przedstawienia ciągle do wszystkiego. Radzimy zastanowić się nad tą sprawą.

Tad. Jor. Odpowiadaliśmy Panu w ubiegłym numerze. Ujemnie. Rękopisy do odebrania w redakcji na Nowym Świecie.

K. H. W-wa: O horoskopach i „czy warto dalej" mamy Panu odpisać na mocy wiersza nadesłanego. Wymaga Pan od nas za wiele. Nie możemy brać na siebie takiej odpowiedzialności. Jeżeli ktoś pyta, czy warto pisać, — niech zaprzestanie, — Prawdziwe pisanie polega na tem właśnie, że traci się wszystko, lecz nigdy nie traci się wiary w to, czy warto pisać. Przeklina się i pisze się — dalej. Dokąd dalej? Nigdzie i donikąd. Wiersz wydrukujemy, aby Pan mógł zobaczyć się w perspektywie druku. Czytelnicy sami osądzą, czy nie za słaby.

Ludwik K. Nie piszemy o tem piśmie, gdyż redaktorzy nie przysyłają go nam, na adres naszego Dodatku Literackiego. Widocznie nie chcą, byśmy o nich mówili.

B. L. Lwów: Przekładów obcej poezji nie umieszczamy, chodzi nam bowiem o zachowanie miejsca dla młodych poetów polskich, którym tak trudno przebijać się. Wiersze pańskie — bardzo jeszcze chropawe.

Ala M.: Modlitwa i Gra w koszu. Magazyn zaś prawdopodobnie wydrukujemy. Bardzo zabawny miły pomysł. Czy nie ma Pani w swej tece, jakichś bardziej przytomnych, mniej natchnionych, bardziej „pospolitych" wierszy, niż modlitwy i gry.

Ellen-Mika: Już odpowiedzieliśmy Pani.

Autorowi „O mnie i o Tobie": Przeczytaliśmy utwór Pana z nabożnem, czy też przerażającem zdumieniem. Ba, — niby po polsku a nic nie rozumiemy. Nic, czy prawie nic! Pisze Pan np.: Z tej szławilnej liczności naszych skupień kłębowych z popod skrzeli crescenda akumulatorowych w pipek trelach najrozkoszniejszej interpunkcji i szwu kabłączków ...i, t. p.!?!?!

Marjan Tar.: Myśl dobra i wiersz byłby się udał, gdyby Pan utrzymał cały pomysł w prostych, ubogich słowach codzienności. Tymczasem posługuje się Pan słowami „natchnionemi" a raczej gwarą romatyczno - wzniosłą. Stwarza to sztuczność i odbiera stylizacji wszelką świeżość. Oczekujemy nowych prób.

Wanderingboy: Bez żadnej wartości.

Sew. Pol.: Czy po przeczytaniu swych wierszy nie doszedł Pan do przekonania, że ściśle sprawę biorąc, — nie wie Pan, o czem pisać? A to, — o tem co trzeba, by tworzyć, a to jakieś ogólnikowe okrzyki na temat słońca i t. p. Nim Pan zasiądzie do tworzenia, radzimy, by zechciał Pan sobie napisać na jakieś kartce papieru: O czem istotnie chce Pan pisać i jak?

Emilja Szen.: Nie jest to ani artykuł, ani sprawozdanie, — zaledwie notatka. Nie do druku. Jeżeli Pani chce współpracować trzeba danego autora oprzeć o odpowiednie tło, wyeksponować walory tego autora, jego znaczenie i t. p. Słowem rzecz musi być opracowana.

Ikar. Toruń: W wierszu „Żebrak" jest ekspresja, może nawet i siła i uczucie, należałoby jednak zorganizować ten utwór: Czytelnik nie wie, skąd na autora spłynęły te wszystkie nieszczęścia. Za co potem, odbywa się to samobiczowanie i samoudręki. Nie wiedząc, — nie może odczuć tragizmu postanowień i ciosów. Trzeba pogłębić przepracowanie tematu.

Adolf Wol. Łódź: Odpowiadamy Panu z całą szczerością: Praca nader prymitywna, nie posiadająca cech talentu, ani nawet jakichś zadatków ogłady literackiej. Cięży na Panu przeczytana literatura, o ile sądzić można z utworu banalna i pospolita. Radzimy na razie nie pisać a czytać wiele dobrych polskich prozatorów, zaczynając od Dygasińskiego.

A. T. Stor.: Odpowiedzieliśmy już Panu.

Eust. Ka.: Przekłady niedobre, na wyżynie przekładów librett operownych, tyle tylko, że się to jakoś rymuje, nic jednak niema wspólnego z poezją.

M. S.: Naogół nadużywają młodzi poeci i pisarze tego tematu. Pragną zniewolić uwagę czytelnika zapomocą współczucia. Tymczasem w utworze poezji nie ma innej średniej, czy przeciętnej poezji.

Juljan Przyboś, Cieszyn: Ależ nie otrzymaliśmy!!!

T. B. C. Zakopane: Zaczynało się doskonale, z tym nosem, trzeba było zostać już chyba w tonie zgryźliwej obserwacji. Doplątał Pan do tego cały ów problemat Zośki, zresztą dość pobieżnie, a mistyczne zakończenie zniszczyło ostatecznie konstrukcję utworu. Czekamy lepszych, porządniej skomponowanych prób.

Z. Hor. Tarnów: Że też Panu nie wstyd w dzisiejszych czasach pisać tak słabych wierszy?!?!

W. H.: Syn Pani ma czas jeszcze, może i powinien próbować coraz nowych sposobów pracy i tworzenia. Każdy autor ma u początków swej działalności całe trumny, całe cmentarze nieudałych skryptów utworów, dzieł i powieści i t. p. Jeżeli syn Pani uważa, że nic lepszego od tego, co dotąd napisał nie napisze, niech wogóle zaprzestanie pisać.

St. Mian.: Nie pójdzie, bo słabe i nieoryginalne.

Wł. Żel.: Owszem, wydrukujemy. I widzi Pan, wcale Panu korona z głowy nie spadła, że Pan przepracował tych kilka drobnych szczegółów.

Marja Iw. Kraków: Umieścilibyśmy, gdyby nie to, że sprawozdanie za długie i tak nieudolnie napisane.

Juljusz W. Kraków: Zupełnie mętne w kompozycji, utrzymanie w tych samych tonacjach co utwór poprzedni. Czyżby to była już maniera? Radzimy pracować nad ukonkretnieniem tej prozy. Ma Pan już tyle techniki, by przejść do żywych ludzi i istotnych konfliktów. Proza liryczna uprawiana przez Pana obecnie prowadzi do niezmiernie subtelnego pisania — o niezem. Groźba śmiertelna, miły Przyjacielu!

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „Literacka" Nowy Świat 22. **Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem**